

## Jeszcze kilka słów o «stanie wojennym»

Kontakt (Pazni)  
Słowa 34, 1(2)

W chwili gdy piszę te słowa od trzech dni nie obowiązuje w Polsce formalnie stan wojenny. Wszyscy wiemy co to w praktyce oznacza. Jednakże historia stanu wojennego, wydarzenie bez precedensu w historii Polski, długo będzie jeszcze przedmiotem naszych rozważań. Historycy przede wszystkim będą jeszcze całymi latami zbierać wszelkie okruchy faktów na jego temat. Prawda musi być tu bowiem pełna.

Co do mnie, to dużo nazywałem się w „Kontakcie” na tematy stanu wojennego. Myślę jednak, że czas abym i ja zabrał głos na ten temat. Coś niecoś mam tu do powiedzenia. Niestety, z różnych względów podawane przede mnie fakty nie zawsze mogą ujawnić pewne szczegóły, zwłaszcza co do źródeł pochodzenia niektórych informacji. Nie chcę zwyczajnie narażać ludzi. Podobnie: niektóre informacje, choćby ze względu na objętość tekstu, są bardzo zdawkowe. Inne są nieokrojone, ale podane w wielkim skrócie. Jeszcze inne celowo przemilczam, przynajmniej publicznie.

A oto co mam do powiedzenia, w chronologicznym układzie:

**Powstanie Solidarności:** Byłem w Warszawie, kiedy rozpoczęły się strajki lipcowo-sierpniowe 1980 r. Pierwsze informacje na ten temat wywołały „na górze” konsternację, ale i lekceważenie. Niektórzy przyjęli to nawet z ulgą. Od VIII Zjazdu PZPR w lutym 1980 r. trwała już „na górze” walka wewnętrzna. Nagłe usunięcie z Biura Politycznego Jaroszewicza i Olszowskiego, oraz zaskoczenie tym faktem obecnego na Zjeździe Susłowa, który podobno miał wykrzyknąć *zdrada*, zwiastowało już początek zmian. Niektórzy cieszyli się, że *Gierka się wywali* i zastąpi kimś innym. Wymieniano tu Olszowskiego i nawet Kanię. O Jaruzelskim mówiono co najwyżej jako o premierze. Podobno proponował mu to nawet sam Breżniew, którego generał był ulubieńcem.

Strajki lipcowe przyszyły w okresie urlopowym. Wielu prominentów się porozjeżdżało po Kraju i zagranicą i wcale się nie spieszyło do powrotu w związku z sytuacją. Uważano, że ferment jest przejściowy i lokalny. Stąd od samego początku zapanowała tu improwizacja w rozwiązywaniu kryzysu. Uznano, że Jagielski, jako „gładki”, będzie to najlepszy do łagodzenia sporów. Ten stary agent sowiecki przyjął to podobno niechętnie, ale przyjął.

Co do Gierka, to mówiono mi potem, że będąc na Krymie początkowo w ogóle o strajkach nie wiedział, bo gospodarze nie o nich mu nie wspomnieli. Komentowano to potem jako chęć pozbycia go się przez Kreml. Gierek bowiem nie tylko miał różne zagrania nie bardzo odpowiadające Kremlowi, ale sprzeciwiał się również sowieckim naciskom przyspieszonej modernizacji uzbrojenia w Wojsku Polskim, które ostatecznie dobiłoby gospodarkę.

Właściwie cała akcja strajkowa do momentu strajku w stoczni Lenina była lekceważona. Nawet i pierwsze wieści o tym strajku również. Uważano nawet, że w walce o władzę jest on na rękę Fiszbachowi i współpracującemu z nim adm. Janczyszynowi. Pełniący zaś obowiązki I Sekretarza KC Kania też zajmował enigmatyczną postawę. Mileżał też Jaruzelski.

Zaniepokojenie było natomiast duże wśród pracowników MSW. Na zebraniu POP w ministerstwie padały nawet wnioski, żeby zebrać ochotników MSW i zaatakować stocznie gołymi rękami. Wniosek jednak nie przeszedł.

W tym czasie środki masowego przekazu miały polecenia łagodzić nastroje w kraju. Wzywano mnie nawet parę razy do studia radio i TV z propozycją, żebym powiedział „co zechcę”. Mówiłem i nigdy nic nie poszło w eter.

Wreszcie 17 sierpnia wezwano mnie nagle do telewizji. Tym razem zapewniono mnie, że wszystko co powiem będzie nadane. Zdażyłem nagrać wypowiedź, ale nawet nie udało się jej odtworzyć. Poproszono mnie o opuszczenie studia, gdyż *ktoś ważny* miał się tu zaraz zjawić. Był to Gierek świeżo przybyły z Krymu. Mojego wystąpienia znów nie puszczono, a zamiast niego puszczono wywiad z prof. Bretsznajderem o aluminium.

Gierek, jak mi to potem opowiadano, miał tylko jedno zmartwienie przed wystąpieniem, a mianowicie czy wyglądał na dostatecznie opalonego po pobycie na Krymie... Znając go osobiście uwierzyłem w to.

Przemówienie Gierka jest znane i nie ma co powtarzać. Powiedział jednak bardzo dużo. Z naciskiem powtarzał, że utworzenie *niezależnych związków zawodowych jest niemożliwe*. Mimo moich sympatii i antypatii dla Gierka, wierzyłem mu, że wie co mówi.

A propos mojej wiary, to od lat oczekiwałem w PRL wybuchu. Nie miałem wątpliwości, że narastał tu głęboki kryzys. Widziałem to w ciągu 16-tu miesięcy mojego ekonomicznego doradztwa u Gierka (wrzesień 1971 – grudzień 1972) na własne oczy i nawet podałem się do dymisji nie widząc dróg zapobieżenia kryzysowi.

Wierzyłem jednak, że naród przeszedł takie transformacje, że nowy wybuch kryzysu będzie pokojowy. Powiedziałem to nawet w wywiadzie dla BBC w czerwcu 1980r.

Tak się też stało. Moje sympatie były od początku po stronie strajkujących, ale w ich zwycięstwo jeszcze nie wierzyłem.

Samo powstanie Solidarności oglądałem już z Nowego Jorku, dokąd przybyłem 24 sierpnia na Specjalną Sesję Zgromadzenia Ogólnego NZ.

Wiedziałem już o Lechu Wałęsie i pierwszych uporządkowanych żądaniach strajkujących. W Nowym Jorku zastała mnie wieść o zmianach w BP i na stanowisku premiera. Najbardziej zdziwił mnie fakt nominacji Pińkowskiego na premiera. Miał opinię „sowieckiego” człowieka, w przeciwieństwie do Babiucha, który takiej opinii nie miał.

Podobnie zmartwiło mnie wejście do BP Olszowskiego i Grabskiego. Olszowski należał do „twardzieli” i miał opinię „człowieka Gromyki”.

Ambasadorowanie w NRD przyjął niechętnie, ale mówiono, że z walki nie zrezygnował. Po rozpoczęciu się strajków przybył samowolnie do Kraju i *czekał*.

Jeszcze bardziej zmartwił mnie Grabski. Ten nigdy nie ukrywał przynależności do „betonu”. Popularność jaką zdobył krytyką Gierka na majowym Plenum w 1978 r. byłaby w porządku, gdyby nie pogłoska, że dzień przedtem widziano go na spotkaniu z pracownikami Ambasady ZSRR.

Samo powstanie Solidarności i pokojowy przebieg wydarzeń ucieszyły mnie niepomiernie, choć przyznaję, iż niektóre z postulatów socjalno-ekonomicznych uważałem za przesadne. Rozumiałem jednak ich tło i nie dziwiłem się obranej taktyce negocjacji powstającej Solidarności. Z samymi postulatami politycznymi wyjść nie



mogła, a niektóre z ekonomiczno-socjalnych musiały być chwytliwe.

Nie sądziłem jednak, że sprawa się zakończyła porozumieniem z Gdańską-Szczecińską-Jastrzębia. Skróciłem swój pobyt w Nowym Jorku i jadąc na lotnisko 6 września już wiedziałem o „rezygnacji” Gierka. Po drodze kupiłem nawet specjalne wydanie na ten temat.

W Warszawie postanowiłem „zasięgnąć języka” w sprawie. Przede wszystkim o samej „rezygnacji” Gierka informacje były sprzeczne. Mówiono mi nawet, że wbrew jego woli Jaruzelski osadził go w szpitalu wojskowym na Szaserów. Potem na posiedzeniu BP zaproponował na jego miejsce Kanię. W społeczeństwie wieść ta wywołała nawet ulgę, gdyż spodziewano się, że następcą będzie Olszowski. Jaruzelski zarobił więc plus jako *anty-radziecki*.

Ale nie to było najważniejsze. Dowiedziałem się, że Kreml wcale nie dał zgody na żadną Solidarność. Postawiono dwa warunki, albo poddanie jej szybko pełnej kontroli PZPR, albo zniszczenie. Uwierzyłem w to.

Jak dalej sprawy się toczyły, już wiadomo. Dochodziły mnie tylko wieści, że Olszowski mawiał, iż kiedy wstaje rano i nie widzi na ulicy radzieckiego żołnierza, to noc uważa za zmarnowaną... Była to zła zapowiedź.

Podobne wypowiedzi Pińkowskiego i Grabskiego były niepokojące. Natomiast zachowanie się Jaruzelskiego było enigmatyczne. Zaczęły krążyć nawet pogłoski, że zamysłał sprowadzić z Zachodu... broń przeciwpancerną. Wymowa tego byłaby jednoznaczna. Nie bardzo w to

wierzyłem, zdając sobie sprawę z silnej penetracji PRL, a zwłaszcza wojska, przez sowiecki wywiad, niemniej jednak...

Sowiecki gniew: Jak wiadomo, sowieckie, czechosłowackie i NRD-owskie środki masowego przekazu niezbyt długo milczały. Zaczęły się głupie, ale złowroźne ataki na polską „odnowę”.

Nie to było jednak najgorsze. Najbardziej groźny był moment „szczytu” Układu Warszawskiego w Moskwie na początku grudnia 1980 r. Wzięli w nim udział także ministrowie spraw wewnętrznych niektórych sygnatariuszy. Zachód bębnił o możliwości interwencji zbrojnej w Polsce.

Doszły do mnie słuchy, że pierwszym, który miał zaproponować interwencję był Andropow, ówczesny szef KGB. Poprzec miał go Gen. Jepszew główny polityk Armii Czerwonej, choć jego uczestnictwa w „szczytach” nie mogłem znaleźć w oficjalnym komunikacie. Obu miał sekundować gorąco Honecker.

Dla odmiany Breżniew miał uważać, że *jeszcze trochę czasu trzeba zostawić towarzyszom polskim*. Poprzec mieli go Ustinow i Gromyko.

Jak było naprawdę nie wiem, ale w wersję tę byłem skłonny uwierzyć.

Sytuacja widziana z Japonii: Propozycję ambasadorowania w Japonii złożono mi w listopadzie 1980 r. Przyjąłem ją, myśląc, że będę raczej ambasadorem Polski a nie PRL.

Przed wyjazdem, który nastąpił 11 lutego 1981 r., zaaranżowanym w pośpiechu, gdyż miałem tam przybyć przed wizytą papieską w Japonii, która rozpoczęła się 23 lutego, złożyłem szereg wizyt prominentom PRL.

Kania odbył ze mną szczerą rozmowę. Pytałem co mam mówić o Solidarności w Japonii. Powiedział, że to co wiem na ten temat i w ogóle odnosiłem wrażenie, że nie było u niego żadnej wrogości do nowych związków.

W rozmowie z Jabłońskim, o którym wiedziałem, iż jest „radzieckim człowiekiem”, też podniosłem ten temat, ale mimo długiej audyencji wcale doń nie nawiązałem. Ogarnęły mnie z tego powodu raczej złe przeczucia.

Przyjął mnie też Pińkowski, choć obaj wiedzieliśmy o tym, że obowiązki zdawał już Jaruzelskiemu (stąd nawet prasa nie podała mojej wizyty u niego).

Pińkowski rozpoczął naszą rozmowę od wymówek. Twierdził, że atakuję rząd w środkach masowego przekazu i że zastanawiał się czy mnie puścić do Japonii.

— *Może byście tak sami pokazali co potraficie?* — zakończył ironicznie. Odpowiedziałem, że chętnie. Wtedy zmienił temat i zaczął mówić o Solidarności. Był na nią wściekły. Najgorzej zaś na żądania utworzenia Solidarności Rolniczej. Powiedział, że *nigdy władzy nie oddamy*. Dalej nie chciałem nawet na te tematy dyskutować.

Opuszczałem więc Kraj z bardzo mieszanymi uczuciami. Z jednej strony chciałem wierzyć w „odnowę”, a z drugiej przeczuwałem jak najgorsze.

Z dalekiego Tokio oglądałem wydarzenia w Kraju z niepokojem. Ciągłe jakieś manewry, o które wypytywałem mnie bez przerwy, a ja nic konkretnego nie umiałem powiedzieć. Depesze z Kraju były sprzeczne, a gdy pytałem o bliższe szczegóły, to pozostawały bez odpowiedzi.

Aż gruchnęła bydgoska prowokacja. Nigdy nie miałem wątpliwości co do tego o co tu chodziło. Nie wiedziałem jednak czy wymyślił ją Jaruzelski, czy też była prowokacją przeciwko niemu?

W każdym razie w Kraju przygotowywał się strajk generalny, a świat trąbił o możliwościach sowieckiej interwencji.

Gdy 26 marca rozmowy zostały zerwane, a Krajem wstrząsnął parogodzinny strajk ostrzegawczy i marcowy „Sojuz 81” trwały, byłem jak najgorszej myśli. Jakoż stało się. Nad ranem 27 marca obudził mnie szyfrant. Przyszła pilna depesza z Warszawy. Min. Czyrek zawiadomił

# RELACJE I REPORTAŻE

ambasadorów, że na wypadek strajku generalnego w Kraju będzie ogłoszony stan wojenny. Po raz pierwszy usłyszałem ten złowrogi termin. Minister zobowiązywał też ambasadorów do podjęcia kroków ostrożności w ambasadzie.

Stało się jednak inaczej. Spór w Kraju jakoś załagodzony. Do strajku generalnego nie doszło. Ale też żadna depeza nie odwołała podjętych środków ostrożności...

Tymczasem z Polski dochodziły mnie wręcz wieści o głodzie. U Japończyków, od Cesarza poczynając a na ministrach i ich zastępcach kończąc, prosiłem o pomoc. Ale z kraju żadnych instrukcji w tej sprawie nie otrzymywałem, choć Japończycy wyrażali gotowość pójścia na rękę naszym propozycjom. Wreszcie posunąłem się do fortelu. Poprosiłem Japończyków, żeby sprzedali nam na dogodnych warunkach 20 tys. ton ryżu. Mieli go prawie 6 mln. na składzie i nie wolno im było sprzedawać go za granicę na warunkach handlowych. Ale sprzedawali go w ramach pomocy krajom Trzeciego Świata. Powiedziałem im nawet, że chodzi o ryż dla szpitali polskich. Japończycy odnieśli się przychylnie do propozycji. Do Warszawy zaś posłałem depezę, że to oni wystąpili z nią. No i napytałem sobie biedy... Całymi tygodniami, a działo się to w kwietniu, nie miałem odpowiedzi ze stolicy. Japończycy pytali mnie co się dzieje: najpierw prosimy, potem milczymy. W czerwcu, w czasie mojego pobytu w Warszawie, w rozmowach z Kanią, Jaruzelskim i innymi prosiłem o zgodę na te negocjacje. Dano mi zgodę w październiku, kiedy Japończycy zapomnieli już o sprawie, pod warunkiem, żeby dostawy ryżu rozpoczęły się po 1 stycznia 1982 r. Wynegocjowałem bardzo dobre kontrakty i pojawili się nadzieje na następną umowę. No cóż, pewnie ZOMO ten ryż zeżarło...

W Japonii widziałem Papieża, z którym serdecznie, choć krótko porozmawialiśmy, a potem doszło do zapowiedzianej wizyty Lecha Wałęsy i delegacji Solidarności.

Prezes Sohyo p. Tomizuka, gospodarz delegacji, przyszedł do mnie uzgodnić niektóre szczegóły związane z tą okazją. Chciał wiedzieć czy będę delegację witał na lotnisku, czy wezmę udział w jej spotkaniach i podróżach oraz czy przewiduję dla niej przyjęcie.

Nie umiałem mu nic konkretnego odpowiedzieć, bo Warszawa na zapytania w tej sprawie milczała. Na własną odpowiedzialność podjąłem jednak niektóre decyzje, włącznie z przyjęciem delegacji w mojej Rezydencji i potem następnym ogólnym polsko-japońskim na salach Ambasady. Postanowiłem, że w razie nieuznania kosztów przyjęcia przez MSZ sam pokryję wydatki.

I na początku maja, parę dni przed przyjazdem, otrzymałem depezę zakazującą mi powitania delegacji na lotnisku. Rozumiałem, że zakaz obejmuje już potem wszystko. Ale nie odwołałem. Na lotnisko pojechał Radca Skowron, a ja powitałem delegację dwa dni później przed gmachem Ambasady. Odbyło się przyjęcie najpierw tylko w gronie polskim. Oprócz Lecha Wałęsy byli m. in. Zbigniew Bujak, Jan Rulewski, Tadeusz Mazowiecki i Władysław Frasyniuk. Wszyscy wywarli na mnie jak najlepsze wrażenie. Potem odbyło się przyjęcie wspólnie z Japończykami. Nikogo z ambasad obcych nie zapraszałem. Ale i tak Telewizja sowiecka pokazała migawki z zewnątrz i skrytykowała to przyjęcie...

Widziane z Moskwy i Warszawy: W dniu 5 czerwca o 18-tej wyleciałem do Afryki. Przed objęciem funkcji ambasadora wykonałem opracowanie dla UNCTAD na temat stosunków ekonomicznych Afryka - RWPG. Co prawda opracowanie zostało dokumentnie zmienione

przez sowieckich pracowników Sekretariatu, ale korzyść miałem taką, że za pieniądze ONZ udawałem się teraz na seminarium do Addis Abeby, Moskwy, Budapesztu, Warszawy i znów Moskwy. Wpadnę więc do Kraju i dowiem się co się dzieje. W Nairobi dowiedziałem się o

jakimś zagadkowym liście przywódców Kremla do przywódców PRL. To samo powtórzono mi w Addis Abebie. Za parę dni, via Aden i Kair, znalazłem się w Moskwie. Już na lotnisku poinformowano mnie, że w Warszawie jest Plenum, na które poleciał amb. Olszewski. Podobno Kanię miał zastąpić Grabski. Rano spikerka radio Moskwa powołała odczytać ów list. Byłem najgorszych myśli. Zadzwoiłem do żony, która w międzyczasie via Bangkok przyleciała już do Warszawy. Mówiła, że tam spokój.

Jednakże w rozmowach na miejscu obraz malował się nie najlepiej. Moi sowieccy znajomi byli chłodni w obejściu. O interwencji mówili jak niemal o konieczności, choć dodawali, że na razie nie mają dostatecznej ilości wojsk (wspomniano nawet o milionie). Coś tam też mówiono o trzech sztabach dla celów interwencji, tj. w Legnicy, Warszawie i najważniejszym Lwowie, dokąd właśnie miał już polecieć Sekretarz KC Rusakow. Postanowiłem więc nie lecieć do Budapesztu, a do Warszawy. W dzień odlotu rozmawiałem jeszcze z amb. Olszewskim, który w nocy powrócił z Plenum. Był wściekły. Twierdził, że Jaruzelski ze swoimi generałami zastraszył wszystkich i nie zastosowali się do listu *towarzyszy radzieckich*. Wykrzykiwał, że będzie prosił radzieckich, żeby natychmiast wkroczyli do Polski...

Warszawa objawiła mi się w całej dostojności spokoju. Biednie było, ale w powietrzu pachniało jakoś inaczej, po prostu wolnością. Dziwne, ale zapach ten przypominał mi czasy przedwojenne. Tyle tylko, że teraz nie pachniało kiełbasą, czekoladą, a nawet świeżym pieczywem...

W Warszawie pogłoski były najdziwniejsze. Rozmawiałem z Kanią, Jaruzelskim, Barcikowskim, Madejem, Milewskim, Krzakiem, Karskim, oczywiście Czyrkiem oraz z paroma generałami i wiceministrami oraz kierownikami Wydziałów KC. No i z wieloma innymi ludźmi. Informacje były tak sprzeczne, że w niczym nie mogłem się połączyć.

Najwięcej plotek krążyło wokół wspomnianego listu. Jedni twierdzili, że Jaruzelski chciał się po nim zastrzelić, a drudzy, że list był z nim uzgodniony (ale nie z Kanią). Postanowiłem zabawić się w detektywa. Kreml miał podobno pretensje, że list zawczasu wyciekł z Warszawy za granicę. Postanowiłem zaprezentować inną wersję. Otóż wylatując z Tokio 5-go czerwca wieczorem, tj. w dniu daty listu Kremla, byłem jeszcze w japońskim MSZ. Wysłałem nawet depezę na ten temat, a więc ślad faktu był. Powiedziałem więc Kani, że jak to możliwe, że treść listu mogła się wydostać z Warszawy skoro Japończycy mi o niej wspominali, czego nie chciałem depezować. Kania się zamyślił i nawet pobiegł do biurka sprawdzić coś w kalendarzu. Dodał, że istotnie dziwne, bo list wręczono mu dopiero po południu tego samego dnia.

Tą samą wersję powtórzyłem Jaruzelskiemu w czasie naszej półtoragodzinnej rozmowy. Ten nawet nie drgnął. Miałem jakieś dziwne uczucie, że Kania w spreparowaniu listu nie uczestniczył, ale co do Jaruzelskiego, to nie byłem tego pewien...

Może też warto dodać, że Kania wypytywał o pobyt delegacji Solidarności w Japonii i to tonem jak najbardziej przyjaznym.

Inne odniosłem wrażenie w rozmowie z Jaruzelskim. Właściwie cały czas milczał, gdy referowałem mu różne sprawy. Ale przypisywałem to możliwości szoku, w jakim jeszcze był, jeśli istotnie planował samobójstwo parę dni wcześniej. Zresztą na ile znałem Jaruzelskiego, to do rozmownych on nie należał.

Kiedy doszedłem do referowania pobytu delegacji Solidarności w Japonii, poprosił mnie, żebym zaczekał, bo sprawą interesuje się także Rakowski. Jakoż ten się zaraz zjawił. Znałem i jego, lepiej niż innych. Referując sprawę zauważyłem, że Jaruzelski jakoś dziwnie się ożywił.

– No i cóż, wrócili już miesiąc temu, a ja jakoś tej Japonii w Polsce nie widzę – wyraźnie drwił z wypowiedzi Lecha Wałęsy na ten temat.

Potem jednak doszły do mnie słuchy, że Jaruzelski robi jakieś dziwne przygotowania wojskowe. Podobno miało to być związane z odpieraniem interwencji...

Inni mówili natomiast wręcz coś odwrotnego, przypisując nawet prowokację bydgoską samemu Jaruzelskiemu.

Według innej opinii, w wypadku interwencji, PRL miała zostać wcielona jako republika do ZSRR, szczytniejsze przejść do NRD, a Dolina Kłodzka do Czechosłowacji.

– A może tak lepiej skończyć z Solidarnością niż mieć takie kłopoty? – zakończył mój rozmówca.

Muszę przyznać, że w prawdziwość takiego rozwiązania sprawy nie wierzyłem, ale wierzyłem w prawdziwość pogłosek rozpuszczanych celowo przez ZSRR.

Mimo wszystko opuszczałem Warszawę 3 lipca w nastroju raczej spokojnym. „Na górze” interesowano się IX Zjazdem znacznie bardziej niż Solidarnością. W „kołach gospodarczych” pojawiło się szereg rozsądnych idei, które nie wydawały się być w żadnym wypadku obliczone na „stan wojenny”. To mnie właściwie najbardziej zmyliło.

Wszędzie gdzie rozmawiałem zgłaszałem swoją chęć powrotu do Kraju. Chciałem uczestniczyć w procesie „odnowy” na miejscu. Powtarzałem uparcie, że z Solidarnością można się porozumieć (teraz gotowości mojego powrotu przypisuje się jakieś nieprawdopodobne brednie).

Wszystko odkładano jednak na *po Zjeździe*. O Jaruzelskim znów krążyła fama, że wraz z generałami *postał się Ruskim*...

– Znów widziane z Tokio: Zjazd przeszedł bez większego echa, chyba tylko było parę niespodzianek wyborczych. Kandydatów na miejsce Kani było paru, z Rakowskim włącznie, co podobno proponowali mu sami Sowieci, ale Kania ostał się na razie. Wybrano też, po raz pierwszy, KC bez uprzedniego uzgodnienia z Moskwą. Było to i dobrze i źle. Nie wykluczałem, że ciężar władzy przesunie się teraz poza KC.

Wydarzenia z Kraju docierały do mnie różnie. Wyrażnie nastroje się psuły w związku z dziwną inercją władzy i brakiem woli dialogu z siłami demokratycznymi. Nawet tymi w PZPR. Wszystkie pochody głodowe, zaostrzające się ataki środków masowego przekazu w *bratnich krajach* oraz coraz bezczelniejszy ton wypowiedzi Olszowskiego i Siwaka – były złym omenem. Potem doszły dziwne strajki i małe prowokacje.

Dwuczęściowy Zjazd Solidarności był dla odmiany objawem postępującej normalizacji. Pozwalano mu się toczyć i to było najważniejsze.

Wreszcie bomba z ustąpieniem Kani i objęciem jego stanowiska przez Jaruzelskiego. Miałem bardzo mieszane uczucia na ten temat. Kompletnie jednak zmyliło mnie spotkanie listopadowe Jaruzelski–Glemp–Wałęsa. I to w momencie dziwnego *frontu pojednania*, strajku radomskiego *rektora Hebdy*, *zespołów wojskowych* i ataku fiolkowego przed kopalnią Dymitrow. Coś tu było nie tak...

Doszły mnie słuchy z Kraju, że zaczęto po cichu mobilizować rezerwistów WSW, KBW i WOP. Było to bardzo niepokojące. Miałem nawet lecieć do Kraju na własny koszt, ale wylot odwołałem. Przeczuwałem bowiem, że może się stać coś niedobrego i Kraju nie będę mógł opuścić. W żadnym bowiem przypadku nie byłem gotów na przystanie do ewentualnego *stanu wojennego*, a wystąpienie przeciwko niemu w mojej pozycji i to w Kraju byłoby niezauważalne, a nawet obróconoby to zupełnie w co innego.

Wątpliwościami swoimi podzieliłem się nawet z działaczem „Solidarności” czasowo przebywającym w Japonii.

– *Zarzucimy ich czapkami* – uspakajał mnie.

– *Przegracie* – obstawałem przy swoim. Znałem chyba lepiej aparat władzy. I miałem rację. Mam nadzieję, że tylko na razie. Reszta jest już znana. Ale z powyższym może się warto było podzielić publicznie.

ZDZISŁAW M. RURARZ

Waszyngton, 24 lipca 1983 r.

Negocjacje w Stoczni Gdańskiej – sierpień 1980

